

Maciej Pisarek

Widok na zatokę

Tak teraz myślę, że to lan, spotkanie z nim, było celem tej podróży. Celem, sensem, przyczyną, każde z tych słów niby trafione i - pudło zupełne. Paradoksalnie. Bo przecież lecąc tam, do Australii, nie wiedziałem nawet o jego istnieniu.

Jumbo, lot nocą, dwa wschody słońca i - Sydney, rozpalony środek dnia. Kolory rozebrane z cieni. Niebo niebieskie, żwir biały, rudy samochód Sylura.

- Witaj na końcu świata! - szczerzy się. I już od razu, po drodze, wszystko - opera, Harbour Bridge, białe papugi w palmach. Ale na chwilę tylko. Bo parkowanie w centrum drogie. Najdroższe. Ale tak trzeba, że drogie. Tłumaczy mi.

Sylur był - rzadkie to chyba, mimo wszystko - politykiem. Takim z pierwszego tłoczenia, z młodzieńczego wyboru. Poznaliśmy się dziesięć lat wcześniej i on już wtedy miał być, czy już był, tak, był na pewno, tym politykiem. A spotkaliśmy się, żeby było śmieszniej, w domu Mozarta. Śmieszniej, bo nic tam nie ma. Co zostaje po muzyku? Kosmyk włosów? Może o tym zaczęła się gadka?

Parę miesięcy później odwiedził mnie w Krakowie. W Berlinie stał jeszcze mur, ale u nas zaczynało się zmieniać, a jego to bardzo ciekawiło. Naprawdę. Zdarzyło się, że stanęliśmy przed wystawą prywatnego warzywniaka. Komuś tam się chciało to wszystko poukładać - warzywa, owoce, w stosy, zwisy, piętra całe kolorowe. No proszę, mrucał z zadowoleniem Sylur, wszystko jest... Miał jeszcze nadzieję, że komuna przetrwa.

To był przystanek w jego podróży naokoło świata. U nich, na Antypodach, to częste. Zwyczaj taki. Po studiach przez rok po świecie, zaliczyć, wyszumieć się, podleczyć kompleksy. A potem do roboty. Drugi raz przyjechał dziesięć lat później, już z żoną. Też rytuał, podróż poślubna, Europa. Ale że wschodnia?! Ciekawe. Oryginalne nawet.

Byłem już w Warszawie. Kupiłem pralkę i zostawiłem im swoją kawalerkę. Miałem przynajmniej spokój i pretekst, żeby wprosić się do znajomej na parę nocy.

Zabrałem ich jeszcze do filharmonii, sami chcieli (w Europie wschodniej wypada docenić kulturę). Pech, że trafili na Mahlera. Spali od połowy.

Byli nudni, ale mili. A do tego, jak się okazało, zapraszali. A mnie było stać. (Wtedy, poza sobą, potrzeb nie miałem.) Sylur był kiwi, czyli z Nowej Zelandii, ale karierę robił w Australii, w jakimś ministerstwie rządu Nowej Południowej Walii. Miałem przemęczyć się z nimi dzień, dwa, w Sydney, a potem ruszyć dalej. Nie miałem planu. Tyle, że chciałem zobaczyć kangury.

Plan za to miał, niestety, Sylur. Kiedy wrócili z tej ich zaszrannej poślubnej podróży, czekała go niespodzianka. Wywalili go z roboty. Oj tam, knuli, wiadomo, od dawna knuli, nogi podstawiali, jedna, czy jeden szczególnie, jak zawsze. Musiał teraz odstresować, dystansu nabrać, więc - też pojedzie! Weźmie pod skrzydła *my friend from Poland*, pokaże mu *bush*. Uszczęśliwi go. Mnie.

He, he, busz pokaże? Sam nigdy w buszu nie był - choć dla nich busz, to wszystko, co za miastem, za progiem. Cały kontynent praktycznie. No, nie tak miało być. Nie wyglądało to dobrze. No bo w końcu, zliczając wszystkie spotkania, spędziłem z nim dotąd - tak *face to face* - nawet nie wiem czy kilkanaście godzin. I to było ok, uczciwe. Obu stronom wystarczało. Nikt nie prosił o więcej, w tym związku. A teraz miało być inaczej, i nie było jak się wysupłać.

Plusy były tylko dwa. Też chciał na pustynię i miał samochód.

Planował. Układał trasę. Mówił. Niespecjalnie słuchałem. A nawet - specjalnie nie słuchałem. Bo skoro tak, skoro już muszę, to niech to przynajmniej będzie niewiadomą. Gdzieś mnie powiezie, nie bardzo wiem gdzie, a ja - dam się powieźć. Zobaczymy. Może tak to się jednak uda.

Tak to się nie udało. Ale tymczasem słuchałem jednym uchem o tym wielkim planie. Padało jakieś Bing Bong, i że odwiedzimy Iana. Bing Bong brzmiało śmiesznie, nedorzecznie. Bing Bong - ping pong - coś może się tak nazywać?

Prowadził w skórzanych rękawiczkach. Takich z dziurkami. Bo, żeby zostać dobrym kierowcą - a nie tylko przeciętnym, jak wszyscy - zapisał się do jakiegoś pieprzonego automobilklubu. Jedziemy już przez tę Australię, zmieniam go, droga prosta jak drut,

ruchu zero, a on do mnie, że - to źle trzymać kierownicę od dołu. I jeszcze dwoma palcami...

A ja najbardziej chciałem być sam. Jeszcze nie wykipiała ze mnie skażona miłość. Czy może tylko zasysanie się bezwładnych feromonów, co, jak w wierszach, burzyło mi krew i paliło w brzuchu. Ona. Jej cząstki były jeszcze we mnie, nie dawały spać, złościły, lizały w uchu, szeptały bezwstydną ślicznością i psuły. Chciałem się w tym pławić, sam, bo całą resztę, razem z sukcesikami, od których robiło mi się niedobrze, mogłem nagle zostawić. Aż na drugiej półkuli.

Kilka dni później, już w buszu, siedzieliśmy przed namiotem. Wieczór, noc prawie, gwiazdy, whisky...

Nawet upić się nie umiał. Nie chciał. A może i chciał, każdy by chciał, w jego sytuacji, ale - nie. Odpuszczał po dwóch głębszych. On był - mówili tak o nim, nie tylko wrogowie, sam to przyznał, później - *clinical*.

No dobrze, wtedy wypił trochę więcej. A ja wspomniałem odwiedzin u rodziców Kate, jego żony. Wpadliśmy tam tuż przed wyjazdem, niby coś pożyczyć (chciał pokazać, że mnie ma, *my friend from Poland*). Starzy Kate byli lekarzami. Wyglądali na bardzo spracowanych i w związku z tym otumanionych. Jakby słabo kumali co się dzieje i już myśleli o tym, żeby wrócić do roboty, gdzie przynajmniej wiedzą co i jak. Oj, nie był Sylur faworytem teściów. Temat straconej posady był starannie omijany. Więc ciężył. Wisiał nad nim jak wyrok.

Zauważyłem, mówię mu pod tym namiotem, że oni mają mnóstwo starych nowych rzeczy. Takich, co to je musieli kupować kiedy tylko wchodziły na rynek. Pierwsza wieża z pilotem? Nowość?! A ci już lecą do sklepu i kupują. Pierwsi. A pilot wielkości kuchenki mikrofalowej. I leży to potem. O tak, dokładnie, Sylur zgodził się natychmiast. Zarabiają górę kasy i nie wiedzą co z nią robić. Kamper? Jasne, będziemy mieli kamper! I kupują, kupili. Największy jaki był, jak autobus przegubowy. I jeżdżą nim - dwa weekendy w roku...

Wsiadł na nich trochę. Porechotaliśmy. Pewnie mu ulżyło. Dlaczego o tym mówię? Miało być o lanie? No przecież jest. Tak, tak.

Zrozumienie z Sylurem było incydentalne.

- ...ten twój akcent! - przyatakował w końcu.

- Dziękuję. Jesteś bardzo cierpliwy.

- Tak. Bo ja lubię ludzi.

A, on lubi, a ja, że niby nie lubię? Bo jego nie lubię? Uogólnił się na ludzkość? Całą? Skromne. Sprytne. I zabolalo.

No tak. Nie lubiłem go. Nie znosiłem, nie mogłem już wytrzymać. I nie byłem w stanie udawać, że jest inaczej. A on - udawać chciał tym bardziej. Tym bardziej chciał mnie uszczęśliwić. Dobrocią niewdzięczność moją ukarać, bezinteresownością rzekomą zawstydzić. Kraj swój - choć był kiwi, a nie aussie - ale swój jednak kraj, z miłości przeciw do ludzi, do mnie, mnie akurat chciał pokazać. Kraj, co to rządzić nim chciał, miał, zza biurka w Sydney, gdyby nie ci ludzie źli i niewdzięczni, co to innych ludzi nie lubią.

Bo przecież - zawsze mu to wychodziło, ze wszystkiego - jakaś forma redystrybucji jest jednak konieczna.

Na przykład kangury. Chciałem kangurów? - obiecał mi kangury. Setki, tysiące.

Jedziemy, jedziemy, dzień, drugi, trzeci - kangurów ni chu-chu. Mój przewodnik zdziwiony, potem zdezorientowany, zaniepokojony, wreszcie ogłupiały nieco... Ale co wieczór zaklina się, że następnego dnia to już będą. Na pewno. Setki, tysiące! Jesteśmy, kurwa, w tej Australii, czy nie! A ja widzę, że jest... za gorąco. Po prostu. Że słońce już parzy, wystarczy wyjść z wozu. Że kangury nie takie głupie i gdzieś, cholera wie gdzie, ale gdzieś się chowają. I wyłażą pewnie w nocy czy coś. Do Alice Springs widzieliśmy jednego. Ja widziałem. Spaliśmy w jakimś, pożał się boże, obsranym motelu, z kibelem na zewnątrz. Wychodzę rano się odlać, słyszę rumor, patrzę... Zaplątał się w siatkę ogrodzenia, szarpie się... Smutny widok. Ale zanim wróciłem z aparatem już go nie było. Wykaraskał się jakoś, skurczybyk. A i Sylur, kiedy mu opowiedziałem, odżył. Kamień spadł mu z serca.

Ale nie do końca było tak, że ich w ogóle nie było. Były, i to całkiem sporo. Ścierwa przy drodze. Proste wyjaśnienie po co wszystko, co jeździ w buszu ma kratę na masce. Kontynent przez środek, od Port Augusta do Darwin, przecinała jedna droga. Poza tym - pustka. Nic. Busz, pustynia, czerwona ziemia. Góry, skały, przeszłość, miliony lat starte na proszek. Człowieka tam było mało. Zwierzęta ciągle się człowiekowi dziwiły, w naiwności, głupocie swojej dzięki i niezmierzonej. A aussie na widok takiego królika, który, jak wiadomo, mnożył się ponad - ludzką - miarę,

patriotycznie dodawał gazu. Żeby zabić. Sylurowi też się zdarzało. Dodać gazu, zabić nigdy nie zdążył. Ian by zdążył.

Może dlatego nie zdążył, że psuł się samochód. W autoryzowanym, z częściami i tak dalej, by to naprawili, ale bezrobotny aktualnie Sylur musiał trzymać się za kieszeń. Więc gdzie byśmy nie stanęli, zaczynał od szukania warsztatu w nadziei, że trafi na złotą rączkę, co dokona cudu. Aż żał było patrzeć. Coś tam dokręcali, próbowali, rozkładali ręce. Dobrze, że to w ogóle jechało jakoś, ale sto na godzinę, to był szczyt możliwości. Więc wszyscy nas wyprzedzali, co ja miałem w dupie, ale Sylur nie. Sylur przeżywał kolejną porażkę.

Przeżywał. To dlaczego bez przerwy się uśmiechał? Bez przerwy! Ile razy zwróciłem na niego obiektyw, ile razy tylko spojrzałem na niego, zawsze - za każdym razem - odpowiadał tym samym, durnym, zębicznym uśmiechem. Jakby włączał światło. Jak na tych zdjęciach z podróży poślubnej, którymi mnie katowali. Setki, miliony tych samych, pustych uśmiechów. Te same twarze, ten sam moment, sklonowany, powielony - nieważne gdzie byli, co widzieli i z kim. Równie dobrze mogli się w ogóle nigdzie nie ruszać.

My jednak jechaliśmy. Albert, Broken Hill, Silverton, Peterborough. Wiochy, miściny jakies jak z Dzikiego Zachodu, osady po paru mieszkańców, bezładne, zarzucone złomem, opuszczane wraz zamykanymi kopalniami. I coraz rzadsze. Coober Pedy, Marla. Sto kilometrów od jednej do drugiej. Dwieście. *Licensed restaurant 400 km*. Pod wysokim niebem koryta rzek, w których woda bywała raz na sto lat, ciągnące leniwie cygańskie pick-upy Aborygenów (te to nawet my wyprzedzaliśmy), ogromne *road trains*, ciężarówki gnające jak na zatracenie... I pustka, pustka... Coraz piękniejsza, coraz potworniejsza pustka...

Bing Bong, koło Borroloola, stan Terytorium Północne. Tam jechaliśmy, tam mieliśmy dotrzeć. Bo tam był Ian. Ian, przyjaciel ojca Sylura... Ian, Ian - to nigdy nie był po prostu Ian, po prostu przyjaciel ojca. Ian był sprawcą tego wszystkiego.

Barton, ojciec Sylura, był kiedyś operatorem filmowym. Poznałem go parę tygodni później, kiedy - już sam na szczęście - przyleciałem do Nowej Zelandii. Mieszkali z Liz w ładnym domu, na prześlicznym, zalesionym zboczu zatoki w Auckland. W

piwnicy miał salkę kinową. Pokazał mi swoje filmy. Jakiś przyrodniczy, z Antarktydy, making of *The Bounty*, z młodym Gibsonem, no i kilka tych, które robił z Ianem. Te były szczególne. Z zatopionych statków.

Kiedy zatonię statek, zdarza się - rzadko, bo rzadko, ale się zdarza - że opłaca się go wydobyć. Albo przynajmniej wyciągnąć coś, co było na pokładzie czy raczej pod pokładem, w ładowni. Ian umiał to robić. Każdy wrak, każdy ładunek był inny. Każdy był wyzwaniem osobnym, nową, jedyną w swoim rodzaju łamigłówką. A on zawsze potrafił ją rozwikłać. Dobierał sposób, technologie, zbierał sprzęt i ludzi, robił akcję. A Barton ją dokumentował. Schodził pod wodę z kamerą i kręcił. Potem montował z tego filmy. Krótkie raczej, żadne dzieła. Widzem był kolejny armator czy ubezpieczyciel. Ktoś, kto miał uwierzyć, że i jemu uda się odzyskać kasę.

Pierwszy z tych filmów był o wycieczkowcu. Przewrócony na bok, z drzwiami na sufitach, z małymi kabinami, przez które trzeba było się przeciskać, ze wszystkimi tymi rurami, kablami, linami, z tysiącem przedmiotów pływających przed nosem, przed oczami, tuż tuż, w bąblach powietrza, w ciemności, którą trzeba było nieustannie rozpraszać...

Szło im. Jedna akcja, druga, następne. I chociaż kosztowały majątek, opłacały się wszystkim. Bo tak dobrze jak Ian nie umiał tego robić nikt. Nikt na całym świecie. Więc świat należał do nich. Ian i Barton, ich żony, Meg i Liz, zbliżyli się. To był ich czas. A potem przyszła - i tu zawsze padała nazwa tego statku, dwa słowa, których ja nie zapamiętałem, a których oni nie zapomną nigdy. Dwa słowa, jak hasło, slogan, który zawierał w sobie wszystko. Wszystko wyjaśniał, wszystko znaczył. Każde z nich, Sylur, Barton, Liz, Meg, nawet Ian, wymawiali je odruchowo ścisząc głos.

Ona - statek po angielsku, to ona - więc ona, te dwa słowa, spoczęła na dnie. A razem z nią skarb, wielki, największy, taki, jakiego jeszcze nie mieli. Więc skoro tak, skoro aż tak, tym razem, postanowili, będzie inaczej. Nie będzie to już tylko usługa. Nie będą najmitami już, o nie. Sami też zainwestują. Dołożą pieniędzy na akcję i odbiorą z wielokrotnym zyskiem. Zarobią już naprawdę, na całe życie. Ustawią się. Powyciągali oszczędności, wzięli kredyty, zastawili domy. A za pięć dwunasta główny partner wycofał się z przedsięwzięcia.

Pstryk! - i stracili wszystko.

Życie podzieliło się na to przed - tu dwa słowa - i po.

Barton odkuś się trochę, bo złapał fuchę. Dokumentował wypadki lotnicze, takie duże, samolotów pasażerskich. No, nie była to przyjemna robota. Nie wiem nawet, czy to w ogóle były jeszcze filmy. Pewnie tylko porządkowali materiały, opisywali i już. I tyle. Dostępne były szczelnie zamkniętemu gronu ekspertów. Ale Barton się naoglądał - i miał dość.

Zajął się produkcją plastikowych gadżetów dla restauracji i hoteli. Na przykład statyw na menu, taki na stolik, proszę bardzo - i to z nazwą knajpy wprasowaną złotymi, mieniącymi się hologramowo literkami. Wziąłem jeden na pamiątkę.

Liz miała już hobby. Robiła z sąsiadkami rzeźby z cukru.

Gdzieś w tym wszystkim - dorastał Sylur.

Patrzyliśmy, Sylur i ja, na tłum turystów męczących się w kolejce do wejścia na kamień, wielki jak góra, nazwany kiedyś przez białych Ayer's Rock. Już wtedy wszędzie tam mówiło się na to Uluru, w języku miejscowych Aborygenów. I wszędzie były tabliczki, że to ich święte miejsce, i że oni nie życzą sobie, żeby tam się wspinać. Więc proszą, żeby się nie wspinać. I wszyscy się wspinali. W dupie to mieli.

Czy Ian też by się wspinał na Uluru? O tak, bez wątpienia. Gdyby tylko miał powód. Ta kolejka by takim powodem nie była.

Patrzyliśmy na kolejkę, na ten tłum profanów, Zachód po prostu, we wspólnym zdumieniu, dzieląc nawet niesmak i wstyd. Więc coś jednak dzieląc.

Bo z Sylurem było odrobinkę lepiej. W Alice Springs powiedziałem mu - mniej więcej - żeby się odpierdolił. Że chcę mieć dzień dla siebie i niepotrzebna mi opieka. Mina mu zrzędła, ale - coś dotarło. Przestał się notorycznie uśmiechać.

Ile było w nim ojca, ile matki? Na oko, sama matka. Liz była do bólu, do wyrzygania uczynna. Uparła się na przykład, że wydzwoni mi samochód. Dziękowałem potem.

- Przecież - trzepotała rżęsami z fałszywym zdumieniem - po to są mamy, prawda?

Prawda? No nie wiem, wątpię nawet. Ciekawe, czy zawsze taka była, czy jej to przyszło po - tu dwa słowa?

Ale Sylura, myślę, bardziej ukształtował Barton, ojciec. Był złośliwy. Nie przepuszczał żadnej okazji, a mnie Sylur zapowiedział dziwacznym słowem *capricious*. Wystawił mnie.

Oglądamy jakieś fotografie z Antarktydy. Piękne. Barton robił je jeszcze w latach sześćdziesiątych, a miały wspaniale oddane, ciągle zachowane kolory... Patrzę, szczerze podziwam, mówię, że niesamowita jakość... - jakby na to czekał... - *Of course* - wrzasnął - *It's western quality! Not Polish*.

Wytrzymałem. Sylur nie wytrzymał. Uciekł od ojca i postanowił, że zostanie jego prezydentem. Jego siostra też nie wytrzymała. Wyglądała jak nastolatka, ale już nie mieszkała w tym pięknym domu. Widziałem ją, bo wpadła na chwilę w obstawie chłopaka, na zimno demonstrując inność.

Jeszcze w Sydney oglądałem (musiałem) film ze ślubu Sylura i Kate. Kiedy przyszło do przemówień, Barton żartował, nie - kpił z syna. Dostało mu się nawet za wzrost. Fakt, był *short*. Ale... Barton?! Był może dwa centymetry wyższy! Rehot gości weselnych nie przeszedł jednak w jęk zażenowania. A Sylur był wściekły. I kiedy sam przemawiał, dowalał z kolei staremu (mówili do siebie po imieniu). Nie szło mu tak dobrze. Jego mowa była już tą z kampanii wyborczej, a Barton, tak to wyglądało, żółć miał we krwi.

Miał ją we krwi? Czy nabył ją po - tu dwa słowa?

Na północy pogoda ponoć się poprawiła, była szansa, że da się przejechać. Ruszyliśmy więc. I znowu jechaliśmy tą drogą, jedyłą, innej nie było.

Zmieniało się. Wróciły drzewa, a z nimi lasy czarnych kikutów wypalonych w pożarach buszu. O dach plaskały ciężkie, ciepłe krople, zmieniały się w rozlewiska z oberwanych chmur. Za zwrotnikiem wyrosły kopce termitów. Odbiliśmy do *Devils' Marbles*, rumowiska z jajowatych głazów, cudacznej resztki nieistniejących gór. Ruch jeszcze się zmniejszył. Barrow Creek, Ti Tree, Elliott. W Daly Waters skręciliśmy na wschód, na Carpentaria Highway.

Do tej pory, mimo wszystko, jechaliśmy ważnym szlakiem, z południa na północ. Kiedyś ludzie ginęli, żeby go wytyczyć i pociągnąć za sobą linię telegraficzną. Gubili się na pustyni, tracili rozum i spalali się na popiół. Wszystko, bo komunikacja przez przyłączone do północnego wybrzeża Darwin dawała dni, nawet tygodnie zaoszczędzonego czasu...

Czasu, czas... Ale ta droga na wschód? Po co ona komu, ta Carpentaria Highway? Jeden pas asfaltu, utwardzony po bokach, żeby ułatwić mijanie. Ale mijanie przestało się zdarzać. Ptaki za rzadko widywały tu samochody, nie umiały przed nami uciec. Podrywały się za późno, udarzały w maskę i ginęły. W lusterku widziałem jak wolno opadają na drogę.

Czy Ian szukałby śmierci na pustyni, jak tamci? Nie, nie szukałby jej, ale może by ją znalazł. Był przecież jednym z nich.

Nie dało się spać. Płyn na komary spływał z nas litrami potu. Siedzieliśmy w majtkach przed namiotem, milcząc i popijając ciepłą wódkę, w ciemnościach, po których rysowały się trasy świetlików, zasłuchani w poświstywanie, pohukiwanie, pomruki, zaśpiewy, piski, chrumkania, kumkania... Jutro mamy być u celu? Naprawdę? Co to było? Nie wiedzieć kiedy przestaliśmy się sobą przejmować. A ze mnie wyparowała miłość, nie miłość, żądza. Trzy tygodnie myślenia o jednym wystarczyło. Czuję się wypatroszony. Więc i - lżejszy.

Roadhouse w Cape Crawford. Już tylko 100 kilometrów do Borroloola. W cieniu na werandzie dwaj kierowcy żartują z wysuszonym, chudym jak szczapa człowieczkiem. On prowadzi ten interes. Zastanawiam się, co wziąć na śniadanie.

- Co ty sobie myślisz! - wścieka się. - Że jestem tu dla ciebie?! Do twojej dyspozycji?! Wiesz ile mam tu cholerniej roboty?! Stacja benzynowa, motel, pub, bar, sklep, kible, śmieci - sam! Sam jeden! I nie zamierzam czekać ani minuty dłużej aż...

Rozglądam się. Dwaj kierowcy, Sylur, odwracają głowy. Poza tym żywej duszy. Szum cykad, słońce. Bezruch.

Pół godziny później Johnny siedzi już z nami i wylewa żale. Właściciel, ta gruba świnia, leży gdzieś na plaży Gold Coast albo jeździ po Europie. A on tu musi tyrać na niego. Sam! Wszystko sam. Zbierać śmieci, sprzątać pokoje, prac prześcieradła... Jest pora deszczowa. Jak zamkną autostradę, nie widzi nikogo przez kilka dni. A zimą? Wcale nie lepiej. Ruch się zwiększa i zanim obsłuży kierowców, już niecierpliwą się cholerni turyści - co oni tu w ogóle robią! - a on jest sam jeden, samiuteńki, na tym jebanym końcu świata! A tyle razy prosił grubą świnie, żeby mu kogoś dostał. O nie, dwa, trzy miesiące i się wynosi. Dość. Jak tak można - ile można! Borroloola? Sami Aborygeni. Nie ma do kogo gęby otworzyć.

W Borroloola na drzwiach zamkniętej stacji benzynowej kartka o intrygującej treści: Szuka się ochotników do nocnych patroli. Później pytaliśmy o to Iana. Odpowiedział wymijająco.

Skręcamy. Ostatnie 60 kilometrów do Bing Bong.

Bing Bong, kiedyś jedna z tutejszych *stations* - farma, powiedzmy. Wielkości województwa. Trzech mieszkańców, trzy tysiące krów spędzanych samolotem z trzydziestu tysięcy kilometrów kwadratowych pastwisk. I nic poza tym. Dzicz, pustka.

Nic. Tylko pić. Picie, picie... Twarz Interioru była opuchnięta, oczy zaczerwienione, oddech kwaśny. Ale teraz, tu - dziwnie. Droga dobrze utrzymana, szeroka, z pasami dla obu kierunków. Po co?

Po co tak gruby asfalt na tym końcu świata. Prawdziwym końcu świata. Prawdziwym *in the middle of nowhere*. Dopiero tu widać jak ta fraza jest bezmyślnie miętolona przez anglosasów. Dopiero tu nabiera sensu. *In the middle of nowhere* - zza zakrętu wyskoczył potwór.

- Sześć! - krzyknął Sylur, akurat prowadził - miał sześć wagonów!

- Co?! Sześć? - nawet nie zdążyłem policzyć. Zanim ochłonąłem, ochłonęliśmy - droga skończyła się szlabanem. Byliśmy na miejscu.

- Może zabrać 140 ton, z ładunkiem waży 205, tak, tak... - Ian opowiada nam o potworze. Uśmiecha się i udaje, źle, od niechcenia, że dystansuje się do tego, co mówi. - 110 kół. Mówią, że to największy samochód na świecie... Jak w Australii? Gorąco, co?

- Bardzo gorąco.

- Tak, bardzo gorąco - uśmiecha się ciągle. - Tak, tak... - ma zwyczaj spokojnego kiwania głową i głośnego powtarzania *yes, yes...*

Wysoki, potężny nawet. Pod sześćdziesiątkę. Biała, równo przycięta broda, bez wąsów, mocne zęby, okulary. Oczy często spuszczone, w zadumie jakiejś. Białe, obcisłe, zawsze podciągnięte podkolanówki, oczywiście kapelusz, ale to wszyscy tutaj... No i nieustanne, bezmyślne *yes, yes, yes*, jak echo, cokolwiek byśmy nie powiedzieli: Dzień dobry, dzień dobry, tak, tak, skoro wszystko dobrze, to usiądźcie na pięć minut, zaraz będę miał dla was czas, tak, tak... Nie to, że święto, bo ktoś go odwiedza, tam, w Bing Bong, na końcu świata.

- Jakaś forma redystrybucji jest jednak konieczna - mawiał Sylur. - Marks miał trochę racji - dodawał, wzdychając sam do siebie.

Może to też było przez starych? To komunizowanie? Przez Bartona? Bo zdarzyło się, że Barton i Liz - a byli wtedy niebezpiecznie młodzi - wjechali kamperem do samej Rumunii. To było coś! Podróż życia. Opowiadali mi - jacy ludzie cudowni, gościnni, inteligentni i takie tam. I opowiadali jak ci ludzie gonili za wyrzuconą przez nich tubką po paście do zębów. Może dlatego Barton nie mógł przeżyć, że mam kartę kredytową (*must be made in America!*). Nie zgadzało mu się.

Czy Ian pojechałby do Rumunii, wtedy, za komuny? W życiu! A po cholereę.

Redystrybucja? Stuknąłby się czoło.

W połowie dwudziestego wieku odkryli koło Borroloola złoża cynku i ołowiu. Przebogate, nie zalegały głęboko, ale nikt palcem nie kwinął, żeby je wydobyć. Dlaczego? Bo najbliższe huty, porty przeładunkowe, nawet najbliższa linia kolejowa, to w każdym przypadku był dystans setek kilometrów prymitywnych dróg, w czasie pory deszczowej często nieprzejezdnych. Transport rudy byłby droższy niż ona sama.

Ale pojawił się Ian. Który był - tu dwa słowa - na dnie.

Powiedział, że zbuduje w Bing Bong, nad Zatoką Carpentaria - na totalnym zadupiu, nie do końca zbadanym, gdzie tylko robactwo i krokodyle - mały port, od zera. W porcie będzie stała tylko jedna barka, zaprojektowana i zbudowana specjalnie, od zera, dla tego portu. Z portu do kopalni wybuduje się, od zera, sto kilometrów drogi przez busz, a specjalny samochód, sześciowagonowy road train, zaprojektowany od zera, będzie woził z kopalni do portu przerobiony wstępnie koncentrat rudy cynku i ołowiu. W porcie przeładuje się go na barkę, barka specjalnie pogłębianym kanałem wypłynie, kawałek tylko, na głębsze wody, a tam koncentrat przeładuje się już na duży masowiec. I z głowy. Proste.

Stukali się w czoło. Mówili, że projekt - a może i sam Ian - ździebko szalony. Pierdolnięty w sensie. Długo to trwało, ale ich przekonał. Wyłożyli kasę. I stał się cud.

A może nie-cud?

W sterylnym biurze czekaliśmy aż będzie miał dla nas czas. Na ścianie mapka przechodzących w okolicy cyklonów, w drucianej klatce papużka... Do biura wszedł pracownik. Dorosły facet, kawał chłopca. Przed wejściem zdjął buty, postawił je na baczność przed progiem. A potem recytował banalne formułki, jak małe dziecko wierszyk, patrząc w podłogę, drepcząc w miejscu, dygocząc prawie. Raport z pierwszej zmiany. Na koniec zostawił to samo na piśmie. Pół zadrukowanej kartki. A Ian z tym swoim promiennym uśmiechem, wpatrzony w podłogę, jakby w to samo miejsce co tamten, powtarzał rytmicznie głębokie *yes, yes, yes...* Nie słuchał, odbierał hołd.

Potem zaczął opowiadać. Nie proszony, bez pytania. Tak, jakby to była bezdyskusyjnie jedyna rzecz warta uwagi. Dostaliśmy kaski, gumowce, i pokazał nam wszystko. Magazyn, port, statek, kopalnię. I zachwycił się wszystkim. Statkiem najwięcej. Jaki to on - ona - zwrotna, jak potrafi "tańczyć" w tak małym basenie. Jakie to wszystko skomputeryzowane, wybitnej jakości, kontrolowane, jak nic się nie marnuje, A jakie mają świetne kamery - od razu widać, kto sobie robi przerwę na papierosa. Jaka załoga wykwalifikowana, jak dobrze zarabia, chociaż, trzeba przyznać, niektórzy nie wytrzymują dyscypliny...

- Doprawdy, chłopcy - *boys*, uśmiech nie zniknął z jego twarzy - nie zrozumcie mnie źle, ja wiem, że to wszystko nie jest może najbliższe temu, co robicie, ale, naprawdę, ja nie muszę się chwalić, mówię to, bo chcę wam tylko *u s w i a d o m i ć*, co widzicie. Każdy kto tu przyjeżdża, szczególnie – zaskakuje, ba, zaszczycza mnie spojrzeniem - z Europy, nie może się nadziwić, że tu, na końcu świata, w buszu, znajduje przedsiębiorstwo tak sprawnie działające, zorganizowane i tak - czyste.

Czyste, tak! Potakujemy. Natychmiast. Potwierdzamy, robaczki małe, że jesteśmy pod ogromnym wrażeniem. Ale uśmiech Iana nie rozbłyska ani odrobinę żywszym światłem. Przecież tylko dobrze wykonujemy powierzone nam zadanie. Tak, tak. I ok.

Dom Iana i Meg przywiózł, w dwóch segmentach, road train ze wschodniego wybrzeża. Postawili go w porcie, zaraz przy biurze. Na stalowej konstrukcji wznosił się nad rozpalony grunt. W środku było ładne, przytulne mieszkanie. Białe i czyste, jak broda Iana. Moglibyśmy być w Sydney, Warszawie czy gdziekolwiek. Nagle

miałem pokój i normalną łazienkę. Okno wychodziło na zatokę. Po dzikiej plaży snuła się grupka Aborygenów.

Meg zrobiła pyszną jagnięcinę. I pyta mnie o Australię, co ja myślę.

- Wszystko jest - szukam dobrego słowa - takie... inne.

- Inne?!! - zła odpowiedź. No i Meg potem - cóż, o ten drink za daleko - trochę się rozkleja. Teraz to nawet, ten dom... Ale... Było ciężko. Bardzo, nie do wytrzymania... Spanie w namiotach, wszędzie robactwo, pająki... Teraz też przecież, gdzie my jesteśmy, boże, węże w doniczkach... Do głupiego Darwin samolotem... Głos jej się łamie, wszystko przez - tu dwa słowa.

Przez lana?

Ian nie reaguje. Prawie. Odrobinę tężeje na twarzy, w sposób, który każe się domyślać, że tak właśnie robi w takich sytuacjach. Że to nie pierwszy raz i nie ostatni, i że wie - to trzeba przeczekać.

Meg. Żona. Matka jego córki. Ich córki. Córka studiuje coś w Europie czy w Stanach. Oczywiście, wszystko dla niej.

Meg, może miłość jego życia. Może kiedyś, może ciągle, może zawsze, może nigdy. Coś to zmienia? Co mówią te łzy wypierane alkoholem?

Zastanawiałem się później jak - tak technicznie, konkretnie - Ian to robił. Jak robił swoje - skoro nic innego nie robił. Pytałem o to nawet Bartona, tuż przed wyjazdem, kiedy już troszkę ostygła jego żółć. Pytałem też dlatego, bo ciekawiło mnie co on z tą żółcią robił przy lanie. Barton mruknął coś niechętnie i machnął ręką. Uciekł. Tak, Ian musiał mieć drugą twarz, której ja nie widziałem. Gdzieś za *tak, tak*, musiało być jakieś *nie, nie*.

I może żółć Bartona nie ma tu nic do rzeczy? Zresztą, jak mówię, kiedy odjeżdżałem dał sobie nagle spokój ze złośliwościami. Do samolotu zostały już godziny i on, i Liz, po prostu posmutnieli. Za chwilę miałem zniknąć. Odrobinę jak Sylur i jego siostra, którzy już odrunęli z ich życia. Ptaki.

Nocą wyszliśmy, Ian i ja, z winem na werandę. Przed nami otwierała się Zatoka Carpentaria i trwał spektakl, widowisko. Niebawale. Są inne, takiego nie będzie już nigdy. Burza w tropikach, na morzu, w zatoce. A my zajmowaliśmy najlepszą lożę. Cały teatr był dla nas, i pusty.

W okularach lana migotały chochliki stroboskopowego światła. Pioruny.

- Pięć tysięcy ton węgla. Tak, tak... - śmiał się zerkając na moje wytrzeszczone oczy.
- Każdy z nich to pięć tysięcy ton węgla...

Ścisłej - burze były dwie. Jedna daleko na zachodzie, druga, bliżej, na wschodzie. Tam lepiej widać było gigantyczne, sinobrazowe zwałowisko chmur, obrysowane światłem księżyca. Rozdziawiałem gębę, przyzwyczajony, że kiedy uderza piorun mija przynajmniej kilka sekund zanim uderzy następny. Tu waliły jak z karabinu maszynowego - bez-przer-wy. Tu, tam, znowu tam, teraz tu, i tam, i tu, tam, tra-ta-tam, tra-ta-tam... Jeden za drugim, i po kilka naraz, minutami, godzinami. Po obu stronach horyzontu, pod dwóch stronach zapadającego w mrok świata. I tak dobrze to było widać, a tak mało słyhać. Głuchy pomruk tylko - bo tak to było daleko. A na wprost, przed nami - cisza. Równe morze, czyste, granatowe niebo i martwa lampa księżyca.

Tak, tak, martwa lampa księżyca - a tuż obok pioruny kotłowały się uwięzione w chmurze. Wypryskiwały całymi wiązkami, bukietami, tuż przy jej krawędzi. Chciały się wyrwać, uwolnić, pognać gdzieś, gdziekolwiek, zabić, albo zginąć, albo jedno i drugie, ślepe, oszalałe...

- Natura przy pracy. Każdy z nich, to pięć tysięcy ton węgla, tak, tak... - najszcześniejszy człowiek na ziemi pochłaniał widok z rozbawieniem i chciwością. - Najpiękniejszy widok na zatokę, tak, tak...

Był nie mniej, a pewnie bardziej *clinical* czy *capriciuos* niż my, ale on - był szczęśliwy. Dlatego, że wzniosł - sam, z niczego - królestwo na krańcu świata? A jeśli nie sam je wzniosł, to przynajmniej sam zrobił sobie w nim tron, na którym zasiadł? Czy to dlatego? Może trochę, może też. Ale nie myślę, że dlatego. To raczej przez te pioruny. Pięć tysięcy ton węgla? Jeden tylko?! Tak? No, skoro tak, to właśnie teraz - teraz, kiedy my na to patrzyliśmy, z naszej królewskiej łoży - zwały się w morze setki tysięcy, miliony tych ton, całe góry, łańcuchy górskie węgla. Że takie marnotrawstwo? Dla nas? Tylko dla nas?! A może - schwytać chociaż jeden taki, grom z jasnego nieba! Ujeździć drania albo chociaż zamknąć w butelce. O tym śnił Ian? Może. Ale on się śmiał. Bo to marnotrawstwo, jego skala, były, poza wszystkim, przezabawne. A widok był piękny.